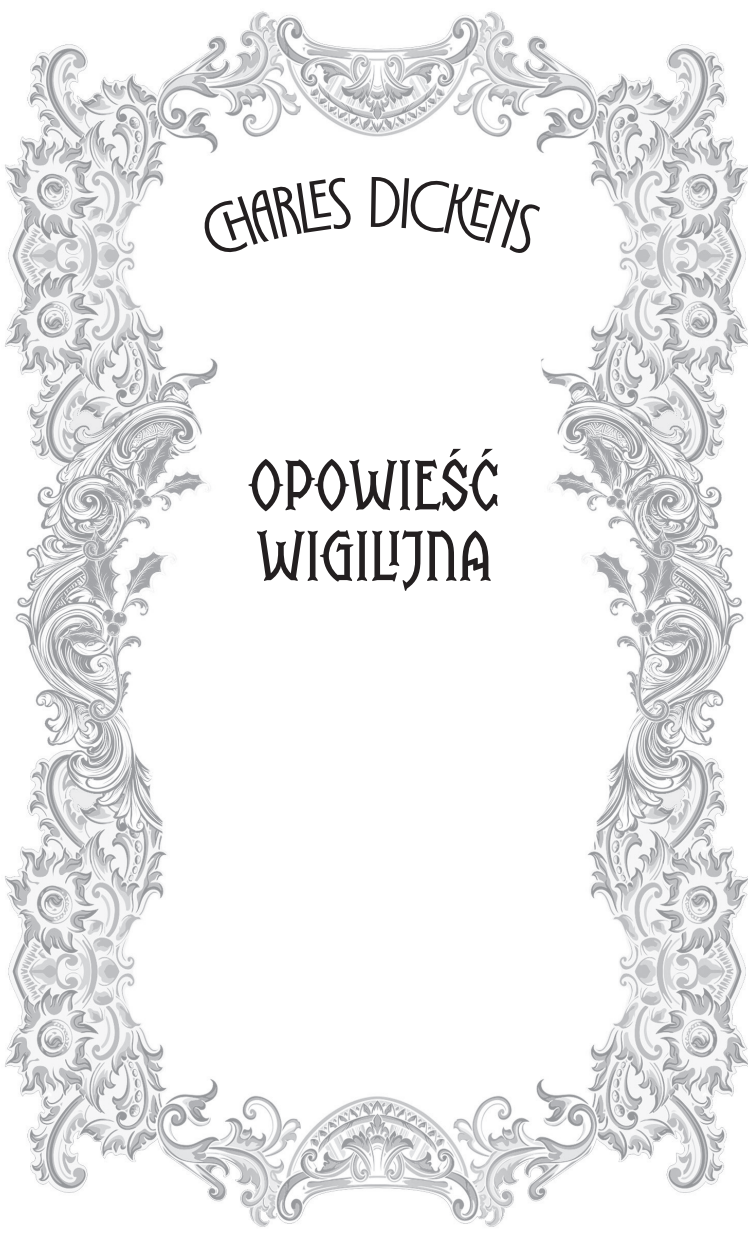




CHARLES DICKENS

OPOWIEŚĆ
WIGILJNA

PRZEDMOWA

W tej skromnej książeczce o duchach starałem się przywołać Ducha pewnej idei – takiego, który nie poróżni moich czytelników ani z nimi samymi, ani między sobą, ani z Bożym Narodzeniem, ani też ze mną. Oby nawiedzał ich domy życzliwie i oby nikt nie chciał go przepędzać.

Ich wierny przyjaciel i sługa,
C.D.

Grudzień 1843 r.

ZWROTKA PIERWSZA

Duch Marleya

Wypada zacząć od tego, że Marley nie żył. Nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. W parafialnym rejestrze pochówków, przy wpisie dotyczącym jego pogrzebu, widniały podpisy duchownego, kościelnego, przedsiębiorcy pogrzebowego i głównego żałobnika. Był tam również podpis Scrooge'a – a jego nazwisko miało na giełdzie taką wagę, że stanowiło rękojmię wszystkiego, pod czym zechciał się podpisać. Stary Marley był martwy jak gwóźdź w drzwiach.

Proszę mnie jednak źle nie rozumieć. Nie twierdzę, że z własnego doświadczenia wiem, co tak szczególnie martwego jest akurat w gwoździu od drzwi. Gdyby przyszło mi samemu rozstrzygać tę kwestię, skłaniałbym się raczej ku temu, by za najbardziej martwy spośród wszystkich żelaznych wyrobów uznać gwóźdź trumienny. Ale skoro mądrość przodków przemawia właśnie przez to porównanie, moje bezbożne ręce nie będą go poprawiać – bo

jeszcze, nie daj Boże, ucierpiałby na tym cały kraj. Powtórzę więc z całą stanowczością: Marley był martwy jak gwóźdź w drzwiach.

Czy Scrooge wiedział, że Marley nie żyje? Oczywiście, że wiedział. Jak mogłoby być inaczej? Byli przecież współnikami przez nie wiadomo ile lat. Scrooge był jedynym wykonawcą jego testamentu, jedynym zarządcą spraw po nim pozostałych, jedynym prawnym spadkobiercą tego, co po nim zostało, jedynym przyjacielem i jedynym człowiekiem, który go opłakiwał. A jednak nawet jego nie poruszyło to smutne wydarzenie – do tego stopnia, że już w dniu pogrzebu okazał się człowiekiem interesu najwyższej próby i uczcił tę żałobną okazję nader korzystnym układem.

Wzmianka o pogrzebie Marleya prowadzi mnie z powrotem do punktu wyjścia. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Marley nie żył. Trzeba to od razu jasno powiedzieć, inaczej bowiem opowieść, którą zamierzam snuć, straciłaby całą swoją niezwykłość. Gdybyśmy nie byli zupełnie pewni, że ojciec Hamleta umarł, zanim zaczyna się sztuka, jego nocna przechadzka przy wschodnim wieńtrze po murach zamku nie byłaby niczym bardziej osobliwym niż wyjście po zmroku jakiegokolwiek innego jegomościa w średnim wieku w jakieś przewiewne miejsce – choćby na przykościelny Cmentarz Świętego Pawła – tylko po to, by, całkiem dosłownie, przyprowadzić własnego syna o pomieszanie zmysłów.

Scrooge nigdy nie kazał zamalować nazwiska dawnego wspólnika. Jeszcze przez długie lata widniało ono na szyldzie nad drzwiami kantoru. Firmę znano pod nazwą „Scrooge i Marley”. Ludzie, którzy dopiero zaczynali z nią interesy, zwracali się do Scrooge’a raz jako do Scrooge’a, raz jako do Marleya; on zaś odpowiadał na oba nazwiska. Było mu to całkowicie obojętne.

Ach, lecz był z niego nie lada skąpiec! Śrubował każdy grosz, wyciskał, ile się dało, zagarniał, wydzieriał, skubał i kurczowo trzymał wszystko w garści – chciwy stary grzesznik! Twardy był i ostry jak krzemień, z którego żadna stal nigdy nie wykrzesala iskry hojności; skryty, zamknięty w sobie i samotny jak ostryga. Chłód, który nosił w sercu, odcisnął się na całej jego twarzy: wyostrzył spiczasty nos, zapadł policzki, usztywnił chód; zaczerwienił oczy, posinił cienkie wargi, a jego głos uczynił szorstkim i zgrzytliwym, jakby przemawiał przez niego sam mróz. Szron zdawał się osiadać na jego głowie, brwiach i szczeciniastym podbródku. Własny chłód nosił zawsze przy sobie; nawet w największe letnie upały potrafił wymrozić swój kantor, a w Boże Narodzenie nie odtajał ani o jeden stopień.

Ciepło i chłód świata zewnętrznego niewiele dla Scrooge’a znaczyły. Żadne ciepło nie potrafiło go rozgrzać, żadna zimowa zawierucha – przeniknąć chłodem. Żaden wiatr nie był od niego bardziej lodowaty, żaden śnieg nie dorównywał mu uporem, żaden siekący deszcz nie pozostawał równie głuchy

na prośby. Najgorsza nawet pogoda nie bardzo wiedziała, jak do niego przystąpić. Ulewa, śnieg, grad i marznący deszcz mogły mieć nad nim przewagę tylko pod jednym względem: bywały hojne, Scrooge zaś – nigdy.

Nikt nigdy nie zatrzymał go na ulicy z życzliwym uśmiechem i słowami: „Mój drogi Scrooge, jakże się pan miewa? Kiedy nas pan odwiedzi?”. Żaden żebrak nie błagał go o choćby najdrobniejszy dattek, żadne dziecko nie pytało go o godzinę, żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie zwrócili się do niego nigdy z prośbą o wskazanie drogi. Zdawało się, że znają go nawet psy niewidomych: gdy tylko dostrzegały, że nadchodzi, ciągnęły swych panów ku bramom i zaułkom, a potem merdały ogonami, jakby mówiły: „Mój niewidomy panie, lepiej już być całkiem ślepym, niż napotkać tak złowrogie spojrzenie”.

Ale cóż to Scrooge’a obchodziło! Co więcej, właśnie to sprawiało mu przyjemność. Przedzierać się samotnie przez zatłoczone ścieżki życia, odtrącając wszelki odruch ludzkiej życzliwości i nakazując współczuciu trzymać się z daleka – w tym znajdował osobliwą satysfakcję.

Stało się to pewnego razu, i to w samą Wigilię Bożego Narodzenia, jeden z najpiękniejszych dni w całym roku, gdy stary Scrooge siedział pogrążony w pracy w swoim kantorze. Dzień był zimny, posepny i mglisty, a chłód przenikał aż do kości. Słyszał, jak ludzie na dziedzińcu krążą tam i z powrotem,

sapiąc ciężko, przytupując na kamiennym bruku i uderzając dłońmi o piersi, by choć trochę się rozgrzać. Miejskie zegary dopiero co wybiły trzecią, lecz było już zupełnie ciemno – zresztą przez cały dzień ani na chwilę nie zrobiło się naprawdę jasno – a świece w oknach sąsiednich kantorów migotały niczym czerwone smugi na gęstym, brunatnym powietrzu. Mgła wciskała się każdą szparą i przez każdą dziurkę od klucza, a na zewnątrz była tak gęsta, że choć dziedziniec należał do najwęższych, domy po drugiej stronie ledwie majaczyły, jak widma. Patrząc na tę ciężką, brudną chmurę, która opadała coraz niżej i przesłaniała wszystko wokół, można było pomyśleć, że Natura zamieszkała gdzieś w pobliżu i gotuje coś na wielką skalę.

Drzwi kantoru Scrooge'a stały otworem, aby mógł mieć oko na swego kancelistę, który w ponurej komórce za nimi, przypominającej raczej ciasną skrzynię niż pokój, przepisywał listy. W kominku Scrooge'a palił się mizerny ogień, lecz u kancelisty był jeszcze skromniejszy: tak nikły, że wyglądał ledwie jak pojedynczy rozżarzony węgielek. Nie mógł jednak dorzucić do paleniska, ponieważ skrzynia z węglem stała w pokoju Scrooge'a; a ilekroć zjawiał się z łopatką, jego chlebowodawca dawał mu do zrozumienia, że jeśli to miałoby się powtarzać, będą musieli się rozstać. Biedak owijał więc szyję białym szalikiem i próbował ogrzać się przy świecy; lecz jako że nie był człowiekiem obdarzonym szczególnie żywą wyobraźnią, niewiele mu to pomagało.

– Wesołych Świąt, wuju! Niech cię Bóg ma w swojej opiece! – zawołał pogodny głos. Był to głos siostrzeńca Scrooge’a, który zjawił się tak nagle, że starzec dopiero w tej chwili zorientował się, że nie jest sam.

– Phi! – burknął Scrooge. – Bzdura!

Siostrzeniec Scrooge’a, idąc żwawym krokiem przez mróz i mgłę, tak się zagrzał, że aż cały promieniał. Miał rumianą, pogodną twarz, oczy błyszcząły mu żywo, a z ust znów unosiła się para.

– Wuju, Boże Narodzenie bzdurą? – zapytał. – Chyba nie mówisz tego poważnie?

– Owszem, mówię – odparł Scrooge. – Wesołych Świąt! A cóż daje ci prawo do wesołości? Z jakiej racji miałbyś się cieszyć? Do bogatych raczej nie należysz.

– No dobrze – odpowiedział siostrzeniec wesoło. – A cóż tobie daje prawo do ponurości? Z jakiej racji miałbyś być tak markotny? Do biednych raczej nie należysz.

Scrooge, nie znalazłszy naprędce lepszej odpowiedzi, mruknął tylko:

– Phi! – Po chwili zaś dorzucił jeszcze: – Bzdura!

– Nie złość się, wuju! – powiedział siostrzeniec.

– Jak mam się nie złościć – odparł wuj – skoro przyszło mi żyć w świecie pełnym głupców? Wesołych Świąt! A niech je diabli porwą, te wasze wesołe Świąta! Czymże jest dla ciebie Boże Narodzenie, jeśli nie czasem płacenia rachunków, choć nie ma z czego; czasem, kiedy odkrywasz, że jesteś o rok starszy, a ani trochę bogatszy; czasem zamykania

ksiąg i przekonywania się, że każdy zapis z minionych dwunastu miesięcy świadczy przeciw tobie? Gdybym mógł rządzić światem – dodał Scrooge z oburzeniem – każdy idiota, który chodzi z „Wesołych Świąt” na ustach, zostałby ugotowany we własnym puddingu i pogrzebany z kołkiem z ostrokrzewu wbitym w serce. Tak właśnie by było!

– Wuju! – upomniął go siostrzeniec.

– Siostrzeńcze! – odparł surowo wuj. – Ty obchodź Boże Narodzenie po swojemu, a mnie pozwól obchodzić je po mojemu.

– Obchodzić? – powtórzył siostrzeniec Scrooge’a. – Ale ty przecież wcale go nie obchodzisz.

– Więc pozwól mi go nie obchodzić – rzekł Scrooge. – Oby ci przyniosło jak najwięcej pożytku! Dość, jak widzę, niemało już ci go przyniosło.

– Jest wiele rzeczy, z których, jak sądzę, mogłem odnieść pożytek, choć nie przyniosły mi żadnej wymiernej korzyści – odparł siostrzeniec. – Boże Narodzenie jest jedną z nich. Jestem jednak pewien, że ilekroć nadchodzi czas Świąt – pomijając cześć należną ich świętej nazwie i rodowodowi, o ile w ogóle cokolwiek, co się z nimi wiąże, można od nich oddzielić – zawsze uważałem go za czas dobry: czas życzliwości, przebaczenia, miłosierdzia i radości. To jedyna pora w całym długim roku, kiedy ludzie jakby za wspólną zgodą szerzej otwierają swoje zamknięte serca i patrzą na uboższych od siebie jak na prawdziwych towarzyszy tej samej drogi ku grobowi, a nie jak na istoty

innego rodzaju, zmierzające dokądś indziej. Dlatego, wuju, choć Boże Narodzenie nigdy nie włożyło mi do kieszeni ani odrobiny złota czy srebra, wierzę, że *wyszło* mi na dobre i jeszcze *wyjdzie*. I dlatego mówię: niech Bóg błogosławi temu świętu!

Kancelista w swojej klitce odruchowo zaklaskał. Zaraz jednak uświadomił sobie, jak bardzo było to niestosowne, więc pogrzebał w palenisku i zgasił na dobre ostatnią iskrę.

– Jeszcze jeden dźwięk z *pańskiej* strony – rzekł Scrooge – a będzie pan obchodził Boże Narodzenie, straciwszy posadę! Z pana to dopiero mówca – dodał, zwracając się do siostrzeńca. – Dziwię się, że nie trafił pan do parlamentu.

– Nie gniewaj się, wuju. Przyjdź jutro do nas na obiad.

Scrooge odparł, że, owszem, zobaczy się z nimi – w rzeczy samej, uczyni to. Jednak mówiąc to, nie gryzł się w język i oświadczył z całą stanowczością, że szybciej zobaczy się z nimi na tamtym świecie.

– Ale dlaczego?! – zawołał siostrzeniec Scrooge’a. – Dlaczego?

– A dlaczego ty się ożeniłeś? – zapytał Scrooge.

– Bo się zakochałem.

– Bo się zakochałeś! – mruknął Scrooge, jak gdyby była to jedyna rzecz na świecie jeszcze bardziej niedorzeczna niż wesołe Boże Narodzenie. – Żegnaj!

– Ależ, wuju, przecież i przedtem nigdy mnie nie odwiedzałeś. Czemu więc właśnie to podajesz teraz jako powód?

– Żegnam – powiedział Scrooge.

– Niczego od ciebie nie chcę, o nic cię nie proszę. Czemu nie mielibyśmy zachować serdecznych stosunków?

– Żegnam – powtórzył Scrooge.

– Bardzo mi przykro, wuju, że jesteś tak nieugięty. Nigdy się z tobą nie poróżniłem, a przynajmniej nigdy nie było to z mojej strony zamierzone. Złożyłem ci jednak tę wizytę przez wzgląd na Boże Narodzenie i do końca zachowam świąteczną pogodę ducha. A zatem: Wesołych Świąt, wuju!

– Żegnam!

– I szczęśliwego nowego roku!

– Żegnam! – burknął ponownie Scrooge.

Mimo to siostrzeniec opuścił pokój, nie wypowiedziawszy ani jednego gniewnego słowa. Przy drzwiach wyjściowych zatrzymał się jeszcze, by złożyć kanceliście życzenia świąteczne, a kancelista, choć zziębnięty, miał w sobie więcej ciepła niż Scrooge, bo odpowiedział mu szczerze i serdecznie.

– A, proszę bardzo, jeszcze jeden – mruknął Scrooge, który to usłyszał. – Kancelista zarabiający piętnaście szylingów tygodniowo, z żoną i dziećmi na utrzymaniu, rozprawia o wesołych świątach. Chyba każę się zamknąć w Bedlam*.

Ów szaleniec, wypuszczając siostrzeńca Scrooge'a, wpuścił zarazem do środka jeszcze

* Potoczna nazwa londyńskiego szpitala Bethlem Royal Hospital, jednego z najsłynniejszych przytułków dla osób chorych psychicznie (przyp. tłum.).

dwóch mężczyzn. Byli to postawni panowie o ujmującej powierzchowności; stali teraz w kantorze Scrooge’a z kapeluszami w rękach. Trzymali pod pachą księgi i papiery, a ujrzawszy go, skłonili się uprzejmie.

– Firma Scrooge i Marley, jak mniemam? – odezwał się jeden z nich, zerkając na swoją listę. – Czy mam przyjemność rozmawiać z panem Scrooge’em czy z panem Marleyem?

– Pan Marley nie żyje od siedmiu lat – odparł Scrooge. – Umarł właśnie tej nocy, siedem lat temu.

– Nie wątpimy, że jego hojność znajduje godnego reprezentanta w osobie wspólnika, który po nim pozostał – rzekł jegomość, podając Scrooge’owi swoje papiery.

I bynajmniej się nie mylił; Scrooge i Marley byli bowiem nadzwyczaj do siebie podobni. Na dźwięk niefortunnego słowa „hójność” Scrooge zmarszczył brwi, potrząsnął głową i oddał papiery.

– W tej świątecznej porze roku, panie Scrooge – ciągnął tamten, biorąc do ręki pióro – wskazane jest bardziej niż zwykle pomyśleć choć trochę o ubogich i opuszczonych, którzy właśnie teraz cierpią najdotkliwiej. Tysiącom ludzi brakuje rzeczy najniezbędniejszych do życia, a setkom tysięcy – nawet najskromniejszych wygód, proszę pana.

– A to nie ma więzień? – zapytał Scrooge.

– Więzień jest pod dostatkiem – odparł jegomość, odkładając pióro.

– A przytulki dla ubogich? – ciągnął Scrooge. – Wciąż jeszcze działają?

– Działają – odrzekł tamten. – Choć wolałbym móc powiedzieć, że nie.

– A więc kierat* i ustawa o ubogich** nadal mają się dobrze? – spytał Scrooge.

– Jedno i drugie funkcjonuje bez zarzutu, proszę pana.

– Ach! – rzekł Scrooge. – Sądząc z pańskich pierwszych słów, obawiałem się już, że zaszło coś, co mogłoby zakłócić ich tak pożyteczne działanie. Bardzo się cieszę, że nic podobnego nie nastąpiło.

– Ponieważ jednak sądzymy, że instytucje te dają ubogim niewiele chrześcijańskiej pociechy, zarówno dla ciała, jak i dla ducha – odparł jegomość – kilku z nas stara się zebrać fundusz, aby kupić im trochę jadła i napitku oraz zapewnić odrobinę ciepła. Wybraliśmy właśnie ten czas, bo ze wszystkich pór roku wtedy najdotkliwiej odczuwa się niedostatek, a dostatek najpełniej raduje się sobą. Jaka kwotę mam zapisać przy pańskim nazwisku?

– Żadną! – odparł Scrooge.

– Czy życzy pan sobie pozostać anonimowy?

* Urządzenie karne używane w XIX-wiecznych brytyjskich więzieniach. Skazani, odbywający ciężką pracę, wspinali się po stopniach obracającego się koła; pierwotnie miało ono służyć pracy użytkowej, np. mieleniu ziarna (przyp. tłum.).

** Reforma z 1834 roku, która zaostrzyła system pomocy biednym w Anglii i Walii: wsparcie dla zdolnych do pracy wiązano głównie z pobytem w domach pracy, gdzie warunki celowo były surowe i odstraszające (przyp. tłum.).

– Życzę sobie, by pozostawiono mnie w spokoju – odparł. – Skoro panowie pytają, czego sobie życzę, to właśnie jest moja odpowiedź. Sam nie obchodzę Bożego Narodzenia wesoło i nie stać mnie na to, by umilać Świąta próżniakom. Pomagam utrzymywać instytucje, o których wspomniałem; kosztują немало, a ci, którym źle się powodzi, niech tam szukają pomocy.

– Wielu nie może tam pójść, a co poniektórzy woleliby raczej umrzeć.

– Jeśli wolą umrzeć – powiedział – tym lepiej. Zmniejszają w ten sposób nadmiar ludności. Zresztą, wybaczy pan, nie znam się na tym.

– A jednak mógłby pan wiedzieć – zauważył jegomość.

– To nie moja sprawa – odparł Scrooge. – Wystarczy, by człowiek znał własne sprawy i nie wtrącał się w cudze. Moje zajmują mnie bez reszty. Żegnaj panów!

Zobaczywszy wyraźnie, że dalsze naleganie nie ma sensu, mężczyźni odeszli. Scrooge wrócił do pracy, jeszcze bardziej niż przedtem zadowolony z siebie i w nastroju osobliwie pogodnym, jak na niego.

Tymczasem mgła i ciemność zgęstniały tak bardzo, że po ulicach biegali ludzie z płonącymi pochodniami, ofiarując się iść przed końmi zaprzęgniętymi do powozów i prowadzić je przez mrok. Stara kościelna wieża, której chrapliwy, wiekowy dzwon zwykł ukradkiem zerkać na Scrooge’a z gotyckiego

okna w murze, zniknęła zupełnie z oczu; wybi-
jała godziny i kwadranse gdzieś wysoko pośród
chmur, a potem jeszcze długo drżała, jakby z zim-
na szczekała zębami. Mróz stawał się coraz do-
tkliwszy. Na głównej ulicy, u wylotu zaułka, kilku
robotników naprawiało rury gazowe; rozpalili wiel-
ki ogień w żelaznym koszu, wokół którego zgroma-
dziła się grupka obdartych mężczyzn i chłopców.
Grzali dłonie nad płomieniem, mrużąc oczy z bło-
gim zadowoleniem. Nieopodal osamotniony kurek
wodociągowy sączył wodę, która zamarzała i prze-
mieniała się w twarde, nieprzyjazny lód. Na wysta-
wach sklepowych gałązki ostrokrzewu i czerwone
jagody trzaskały w ciepłe lamp, a ich blask oble-
wał rumieńcem blade twarze przechodniów. Skle-
py z drobiem i sklepy kolonialne stawały się ist-
nym widowiskiem, tak barwnym i wystawnym, że
trudno było uwierzyć, iż mają cokolwiek wspólnego
z tak przyziemnymi sprawami jak kupno i sprzedaż.
Lord burmistrz w potężnym Mansion House pole-
cił swoim pięćdziesięciu kucharzom i lokajom wy-
prawić Boże Narodzenie tak, jak przystało na dom
lorda burmistrza; nawet nędzny krawiec, którego
poprzedniego poniedziałku ukarano grzywną pię-
ciu szylingów za pijaństwo i awantury na ulicy, mie-
szał już na poddaszu pudding na dzień następny,
podczas gdy jego wychudzona żona, z niemowlę-
ciem na rękach, wyszła kupić wołowinę.

Mgła gęstniała coraz bardziej, a mróz stawał się
coraz ostrzejszy. Chłód był przenikliwy, natrętny,

kąsający. Gdyby dobry święty Dunstan*, zamiast sięgać po swoje zwyczajne narzędzia, uszczypnął Złego Ducha w nos takim właśnie mrozem, tamten dopiero ryknąłby z całych sił. Pewien chłopiec o małym nosie, niemiłosiernie kąsanym przez chłód, pochylił się ku dziurce od klucza w drzwiach Scrooge'a, by uraczyć go pieśnią bożonarodzeniową; lecz zaledwie zabrzmiały pierwsze słowa:

*Niech Bóg ci błogosławi, dobry panie!
Niech nic cię nie trwoży!*

Scrooge chwycił linijkę z taką gwałtownością, że śpiewak pierzchnął w popłochu, zostawiwszy dziurkę od klucza na pastwę mgły i bardziej przyjaznego mrozu.

Wreszcie nadeszła pora zamknięcia kantoru. Scrooge z wyraźną niechęcią zsunął się ze swego stołka, dając tym samym bez słowa do zrozumienia oczekującemu w klitce kanceliście, że dzień pracy dobiegł końca. Ten natychmiast zgasił świecę i włożył kapelusz.

– Zapewne będzie pan chciał mieć jutro cały dzień wolny? – rzekł Scrooge.

– Jeśli nie sprawi to panu zbytnej niedogodności, proszę pana.

– Owszem, sprawi – odparł Scrooge – a co więcej, jest to niesprawiedliwe. Gdybym potrafił panu

* Opat klasztoru Glastonbury, arcybiskup Canterbury (960–988), święty Kościoła katolickiego (przyp. tłum.).

za to część wynagrodzenia, założyłbym się, że poczułby się pan pokrzywdzony, czyż nie?

Kancelista uśmiechnął się blado.

– A jednak – ciągnął Scrooge – kiedy ja płacę dniówkę za dzień bez pracy, nie uważa pan, że to mnie dzieje się krzywda.

Kancelista zauważył nieśmiało, że zdarza się to tylko raz do roku.

– Marna to wymówka, żeby każdego dwudziestego piątego grudnia sięgać człowiekowi do kieszeni! – rzekł Scrooge, zapinając płaszcz aż pod samą brodę. – Ale, jak widzę, musi pan mieć cały dzień wolny. Proszę więc pojawić się pojutrze rano odpowiednio wcześniej.

Kancelista przyrzekł, że tak uczyni, a Scrooge, mruczając coś pod nosem, wyszedł. Biuro zamknięto w okamgnieniu; sam zaś kancelista, któremu długie końce białego szala zwisały aż poniżej pasa – nie miał bowiem płaszcza – pobiegł na Cornhill, gdzie na czele chłopięcej gromady dwadzieścia razy zjechał po ślizgawce, świętując w ten sposób wigilijny wieczór. Potem popędził co sił do Camden Town, by bawić się w ciuciubabkę.

Scrooge, jak zwykle, samotnie i bez najmniejszej przyjemności zjadł kolację w ponurej gospodzie, następnie przeczytał wszystkie gazety, resztę wieczoru spędził nad księgą bankową i wrócił do domu na nocleg. Mieszkał w apartamencie, który niegdyś należał do jego zmarłego współnika. Był to ponury ciąg izb w starym, przytłaczającym gmachu,

stojącym w głębi podwórza – w miejscu tak osobliwie niedorzecznym, że trudno było oprzeć się wrażeniu, iż budynek zabłąkał się tam jeszcze za młodu, podczas zabawy w chowanego z innymi domami, i już nigdy nie zdołał odnaleźć drogi powrotnej. Podwórze tonęło w takim mroku, że nawet Scrooge, znający tam każdy kamień, musiał iść po omacku. Mgła i mróz zalegały wokół starej czarnej bramy tak gęsto, iż zdawało się, że sam Duch Pogody przysiadł na progu, pogrążony w ponurej zadumie.

Otóż trzeba powiedzieć, że sama kołatka u drzwi nie miała w sobie nic szczególnego – poza tym, że była wyjątkowo duża. Jest również faktem, że Scrooge oglądał ją co dzień, rano i wieczorem, odkąd mieszkał w tym domu; a przy tym miał w sobie równie mało tego, co zwykło się nazywać wyobraźnią, jak chyba każdy człowiek w londyńskim City, nie wyłączając – a to porównanie dość śmiałe – władz miejskich, rajców i starszyzny cechowej. Warto też pamiętać, że od chwili, gdy owego popołudnia po raz ostatni wspomniał swego współnika, od siedmiu lat nieżyjącego Marleya, Scrooge ani razu o nim nie pomyślał. Niech więc ktoś mi teraz wyjaśni, jeśli potrafi, jakim sposobem mogło się zdarzyć, że Scrooge, stojąc z kluczem wsuniętym w zamek, ujrzał w kołatce – choć nie zaszła w niej żadna widoczna przemiana – nie kołatkę, lecz twarz Marleya.

Twarz Marleya. Nie tonęła w nieprzeniknionym cieniu jak wszystko inne na dziedzińcu; otaczała

ją posępna poświata, kojarząca się z wonią, jaką w ciemnej piwnicy mógłby roztaczać zepsuty homar. Nie było w niej ani gniewu, ani dzikości; patrzyła na Scrooge'a tym samym znajomym spojrzeniem, którym Marley zwykł patrzeć za życia, z upiornymi okularami spoczywającymi wysoko na upiornym czole. Włosy poruszały się osobliwie, jakby muskał je czyjś oddech albo podmuch gorącego powietrza; oczy zaś, choć szeroko otwarte, pozostawały zupełnie nieruchome. To właśnie, wraz z sinawą barwą twarzy, czyniło ten widok tak strasznym. A jednak miało się wrażenie, że groza nie pochodzi ani z samej twarzy, ani z jej wyrazu, lecz z czegoś zewnętrznego, co ją przenikało.

Gdy Scrooge wpatrzył się w to zjawisko uważniej, kołatka znów stała się tylko kołatką.

Stwierdzenie, że się nie przeraził albo że nie przebiegł go straszliwy dreszcz, obcy mu od dzieciństwa, byłoby kłamstwem. Mimo to położył dłoń na kluczu, który przed chwilą wypuścił, przekręcił go zdecydowanym ruchem, wszedł do środka i zapalił świecę.

Zawahał się jednak przez moment, zanim zamknął drzwi. Najpierw ostrożnie zajrzał za nie, jakby w głębi ducha spodziewał się ujrzeć w sieni wystający warkocz Marleya. Nie zobaczył jednak nic prócz śrub i nakrętek, na których osadzona była kołatka, mruknął więc: „Phi, głupstwo!” – i zatrzasnął drzwi z hukiem.

Odgłos potoczył się po całym domu niczym grzmot. Zdawało się, że każdy pokój na górze i każda

beczka w piwnicach handlarza winem pod budynkiem odpowiadają mu własnym echem. Scrooge nie był człowiekiem, którego mogłoby przestraszyć echo. Zaryglował drzwi, przeszedł przez sień i ruszył powoli po schodach, przycinając po drodze knot świecy.

Można sobie wyobrażać, że po porządnym starym schodach dałoby się wjechać kareta zaprzężoną w szóstkę koni albo z równą łatwością przebrnąć przez jakąś lichą, świeżo uchwaloną ustawę parlamentu. Ja jednak twierdzę, że można byłoby po nich bez większego trudu wciągnąć karawan – i to w poprzek, z dyszlem skierowanym ku ścianie, a drzwiczkami ku balustradzie. Tak szerokie były te schody; miejsca zostałyby jeszcze aż nadto. Może dlatego Scrooge'owi zdało się, że w mroku sunie przed nim karawan, jakby poruszał się o własnych siłach. Pół tuzina ulicznych latarni gazowych nie zdołałoby należycie oświetlić tego wnętrza; łatwo więc sobie wyobrazić, jak ciemno było przy jego lichym świetle.

Scrooge wspinał się dalej po schodach, niewiele sobie z tego czyniąc. Ciemność nic nie kosztuje, a on cenił wszystko, co tanie. Zanim jednak zamknął za sobą ciężkie drzwi, obszedł jeszcze swoje pokoje, by upewnić się, że wszystko jest na swoim miejscu. Wspomnienie tamtej twarzy było wciąż zbyt świeże, by mógł sobie darować tę ostrożność.

Pokój dzienny, sypialnia, komórka na rupiecie – wszystko było w należyтым porządku. Nikogo pod stołem, nikogo pod kanapą; w kominku tlił się skromny ogień; miska i łyżka były przygotowane,

a na płycie stał rondelek z kleikiem, bo Scrooge'a męczył katar. Nikogo pod łóżkiem, nikogo w schowku, nikogo też w szlafroku, choć wisiał przy ścianie w sposób doprawdy podejrzany. W komórcie wszystko również wyglądało jak zwykle: stara osłona kominkowa, stare buty, dwa kosze na ryby, trójnożny stojak do mycia i pogrzebacz.

Uspokojony zamknął drzwi i przekręcił klucz; co więcej, zamknął się na dwa zamki, choć nie było to jego zwyczajem. Dopiero wtedy zdjął krawat, włożył szlafrok, pantofle i szlafmycę, po czym usiadł przy kominku ze swoim kleikiem.

Ogień był bardzo słaby, jak na tak przenikliwie zimną noc, niemal żaden. Scrooge musiał przysunąć się do paleniska i pochylić nad nim, zanim poczuł choć odrobinę ciepła bijącego z tej marnej garstki opału. Kominek był stary, pamiętał czasy jakiegoś dawnego holenderskiego kupca. Dookoła obłożono go osobliwymi holenderskimi kaflami, malowanymi w sceny biblijne. Przewijali się na nich Kain i Abel, córki faraona, królowa Saba, anielscy posłańcy zstępujący z nieba na obłokach miękkich jak pierzyny, Abraham, Belshazzar i apostołowie wypływający na morze w łódeczkach podobnych do maselniczek – całe mrowie postaci, które bez trudu mogłyby zająć jego myśli. A jednak twarz Marleya, od siedmiu lat nieżyjącego, zjawiała się nagle niczym laska dawnego proroka i pochłonęła wszystko. Gdyby każdy gładki kafel był początkowo pusty i mógł przyjąć obraz utkany

z rozsypanych okrucichów myśli Scrooge'a, na każdym widniałaby twarz starego Marleya.

– Bzdura! – powiedział Scrooge i zaczął chodzić po pokoju.

Po kilku okrążeniach znów usiadł. Gdy odchylił głowę na oparcie krzesła, jego wzrok przypadkiem padł na dzwonek – stary, nieużywany dzwonek wiszący w pokoju i połączony, dla jakiegoś dawno już zapomnianego celu, z izbą na samym szczycie domu. Patrzył na niego ze zdumieniem i z osobliwą, niewytłumaczalną trwogą, gdy nagle zobaczył, że dzwonek zaczyna się kołysać. Z początku poruszał się tak lekko, że ledwie wydawał dźwięk; po chwili jednak zadzwonił głośno, a wraz z nim odezwały się wszystkie dzwonki w całym domu.

Mogło to trwać pół minuty, może minutę, a jednak Scrooge'owi wydało się całą godziną. Dzwonki umilkły tak samo, jak się odezwały – wszystkie naraz. Zaraz potem z głębi domu dobiegł metaliczny szczęk, jakby ktoś włożył ciężki łańcuch po beczkach w piwnicy kupca winnego. Wówczas Scrooge przypomniał sobie, że słyszał, iż duchy nawiedzające domy ciągną za sobą łańcuchy.

Drzwi do piwnicy rozwarły się z głuchym hukiem, a chwilę później usłyszał ten odgłos jeszcze wyraźniej – najpierw na niższych piętrach, potem na schodach, a w końcu tuż przed własnymi drzwiami.

– Bzdura, po stokroć bzdura! – powiedział Scrooge. – Nie uwierzę w to.